

Gdzie diabeł nie może

Dorota Ostrowska

1



© Copyright by Dorota Ostrowska & e-bookowo
Projekt okładki: Dorota Ostrowska

ISBN 978-83-7859-198-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

*Ance Biedrzyckiej,
bez której entuzjastycznego wsparcia
ta książka nigdy by nie powstała.*

Duszyzka nie chciała umierać, ale miała nieprzyjemne wrażenie, że sprawy idą w złym kierunku. Potężna siła porwała ją w górę i patrzyła teraz spod sufitu na swoje dotychczasowe ciało, z którym nie miała najmniejszej ochoty się rozstawać. Było to całkiem fajne ciało i nawet kilka osób podzielało tę opinię. Grupka zamaskowanych ludzi zgromadzonych wokół stołu za wszelką cenę próbowała ją zatrzymać. Czowała dotyk chłodnych dłoni, słyszała szcęk narzędzi i nierytmiczne popiskiwanie aparatury. Czas płynął i w głosy ludzi wkradł się niepokój. Duszyzka rozpaczliwie wierzgała, walcząc o powrót do osieroczonego ciała, ale gdy już wydawało jej się, że osiąga przewagę nad mrocznym przeciwnikiem, ten, jakby zniercierpliwiony oporem, pchnął ją mocno i runęła w przepastny, czarny tunel. Ściany wokół wirowały, obok przelatywał kurz i okruchy cegieł, a pęd powietrza owijał jej szpitalną koszulę wokół ciała. Po chwili wszystko znieruchomiało, a Duszyzka znalazła się na wąskiej ścieżce znikąd do nikąd.

Próbowała zrozumieć jak mogła tu trafić, ale wspomnienia rozmazywały się jej w głowie. Pamiętała, że szła ulicą w ulubionej, żółtej sukience, która świetnie wyglądała przy ciemnych włosach. Było ciepło, obok spieszyli ludzie, jechały samochody i tramwaje. Dzień jak co dzień w wielkim mieście, jej zwykły świat, znany i oswojony. Pa-

miętała jeszcze pisk hamulców, czyjś krzyk, może własny, a potem ciemność.

Szara, zimna mgła wciskająca się za kołnierz i osiadająca na ciele milionami mokrych igiełek była tak gęsta, że Duszczyka prawie nie widziała palców u wyciągniętej ręki, ale czuła leciuteńki dotyk wiatru na skórze i zapach wilgotnego lasu. Niejasno zdawała sobie sprawę z obecności innych ludzi w pobliżu. Słyszała szmery, westchnienia i odgłosy ciężkich kroków, ale z jakiejś przyczyny bała się odezwać i starała się poruszać bezszelestnie. Szła wolno, rozpoznając drogę dotykiem bardziej, niż wzrokiem, a strach przed niewiadomym wywoływał dodatkowe dreszcze. Kiedy próbowała się zatrzymać i zawrócić, czuła za plecami opór mgły, z pozoru bezcielesnej, ale pchającej ją w jednym kierunku. Ścieżka wspinała się ku górze, niespodziewanie zakręcała i wiła, jakby chciała zmylić każdego, kto po niej szedł. Wydawało się nawet, że sama nie bardzo wie, dokąd ma prowadzić. Przecinała strumyk, szła po kamieniach i po leśnych wykrotach, gubiąc się pomiędzy paprociami. W innych okolicznościach można by ją zapewne uznać za malowniczą i urozmaiconą, ale walory turystyczne to ostatnia rzecz, na jaką chciałoby się w takich okolicznościach zwracać uwagę. Wędrówka trwała bardzo długo i zmarznięta, niespokojna i kuśtykająca na obolałych bosych stopach Duszczyka zastanawiała się co za kretyńskie siły zabrały ją z dotychczasowego świata tak kompletnie bez przygotowania, boso i co gorsza

w upokarzająco kusej, sięgającej ledwo pół uda koszulinie z czerwonym stemplem „Szp Woj Chir” i z włosami byle jak związanymi aptekarską gumką. Krótko mówiąc robiła się powoli coraz bardziej wkurzona.

– *Zabraliście ją? – głos napłynął z ciemności, sprawiając, że obaj mężczyźni w czarnych mundurach drgnęli, kuląc się lekko.*

– *Tak, panie.*

– *Gdzie jest teraz?*

– *Zostawiliśmy ją na ścieżce, panie. Dalej poszła sama. Niezła dupa.*

– *Milcz! - Smagnięcie biczem rozciąło policzek wyższego mężczyzny. – Dowiedz się gdzie ją posłali.*

Mgła skończyła się nagle i Duszycka stanęła w trawie na nagrzanym słońcem łące. Kilkanaście kroków przed nią wznosił się solidny mur, który ciągnął się w obie strony aż po horyzont. Ogarnęło ją poczucie beznadziei. Mur był wysoki i zaniedbany – płyty odpadającego tynku odsłaniały zmurszałe cegły, kłęby drutu kolczastego na zwieńczeniu wyraźnie przerdzewiały, a pnące się tu i ówdzie dzikie wino przyspieszało zniszczenie. Co kilkadziesiąt metrów w murze widniały szerokie żelazne furtki, pozamykane na ogromne kłódki. Ani to przeskoczyć, ani obejść. Odwróciła się, żeby wrócić i poszukać jakiejś bardziej obiecującej

drogi, ale za plecami miała tylko gładką szklaną tafłę koloru szarej mgły, równie bezkresną, jak pobliski mur.

– No to, kurwa, pięknie.

– Nie powinnaś się tak wyrażać.

Odwróciła się gwałtownie. Kilka kroków od niej stało biurko, o jakim zawsze marzyła – ogromne, jak pas startowy na porządnym lotnisku, staroświeckie, z mnóstwem szafeczek, szufladek, schowków i zakamarków. Dębowe i rzeźbione, takie, które żyje własnym życiem. Jednym słowem mebel z osobowością, którym się zachwyciła. Mogłaby przysiąc, że ono też uśmiechnęło się do niej.

– Moje biurko cię polubiło – ucieszył się siedzący za nim ogorzały staruszek w białej koszulce z wyhaftowanym napisem „Recepcja”. Miał niesforną szopę siwych włosów, przez co wydawał się podobny do Einsteina. Z kącika ust zwisał mu dogasający papieros.

– Kim pan jest?

– Kierownikiem Recepcji.

– Jakiej recepcji? Przecież tu nic nie ma. Przepraszam, zgubiłam się. Może mi pan powiedzieć którą mam wrócić do domu? Przyszłam stamtąd – machnęła ręką w nieokreślonym kierunku za sobą.

– Jak się nazywasz, moja droga?

– Duszyczka.

– Chyba będziesz musiała zostać z nami.

– W żadnym wypadku! To znaczy bardzo dziękuję, ale mam inne plany.

Odwróciła się i uderzyła ręką w szklaną ścianę. Staruszek uśmiechał się dobrotliwie i patrzył na nią bez słowa. Straszna prawda zaczęła docierać do nieco otepiałego od leków mózgu Duszycki.

– Jak się stąd wychodzi? Nie chce pan chyba powiedzieć, że...

– Nie wychodzi się – tłumaczył cierpliwie. – Rozumiem, że podobnie jak większość, wolałabyś wrócić do swojego starego świata, ale musisz zostać. Nie martw się, będzie ci się u nas podobało.

– Jak to „zostać”? Nie chcę! Przecież chyba można jakoś się przebić przez tę ścianę?

Pokręcił głową.

– Górą przejść? – próbowała.

Nadal patrzył bez słowa.

– No to może się da podkopać... – rzuciła z resztką nadziei.

W jego oczach ledwo widocznych spod grzywy siwych włosów błysnął cień zniecierpliwienia.

– Na drodze, którą przyszłaś obowiązuje jeden kierunek ruchu. Wyobraź sobie wąski korytarz, w którym mieści się tylko jeden człowiek. Gdybyś chciała iść pod prąd, wszyscy ci, którzy wyruszyli w drogę po tobie musieliby się cofnąć.

– No i wyobraź sobie teraz pacjenta, który wrócił i zaczyna krzyczeć w prosektorium – włączył się rozmazonym głosem siedzący obok młodzieniec w niebieskiej

koszulce z haftem „Asystent”. Oczywiście było, jaki gatunek filmów lubi. – Patolog zszedłby na zawał. Albo chodzące po ulicy zmasakrowane ofiary wypadków drogowych, zmarli wstający z katafalku podczas konsolacji... – ciągnął z lubością.

– Na pewno jest jakieś wyjście! – przerwała. – Chcę wrócić do domu! Nie wiem, kto mnie tu sprowadził, ale...

– Przykro mi – uciał sucho staruszek. – Poza tym z pewnością będzie ci się u nas podobało. Mamy nawet takie sklepy z butami, w których są wszystkie rozmiary i fasony, jakich zapagniesz...

Duszycka przez moment walczyła z własną słabością do pięknych butów, ale postanowiła się nie poddawać tak łatwo i zachowała nieżyczliwy wyraz twarzy.

– No, Zenobiuszu, nie siedź taki rozmarzony, jak Słowacki na pomniku! – zwrócił się siwy mężczyzna do młodzieńca. – Sprawdź akta Duszycki i wystaw jej przepustkę PS1, główny dokument rejestracyjny GD2. I koniecznie kwit na tymczasowe ubranie z szatni. Nie może przecież w tym chodzić.

Duszycka, która dopiero teraz poświęciła chłopcu uwagę, musiała przyznać, że robił wrażenie. Patrząc na niego zauważało się przede wszystkim ogromne, błękitne oczy. Taki wzorzec z Sèvres, niedościgły ideał dla wszystkich błękitnych oczu świata. Wrażenia życzliwej niewinności dopełniał uśmiech żywcem wzięty z reklamy pasty do zębów. O kolorze włosów niewiele dałoby się powie-

dzieć – świeżo ogolona czaszka lśniła w słońcu jak wypolerowane jajo, a na niej pyszniła się precyzyjnie wytatuowana czarna pajęczyna. Kontrast tego paskudztwa z buzią aniołka wstrząsał widzem do głębi. Wbrew sobie uznała, że chłopiec marnuje się na biurowym stanowisku.

– Minął się z powołaniem. Zrobiłby karierę jako stylistą.

– Mówisz o wyglądzie Zenobiusza? Ciągłe eksperymentuje. Tydzień temu nosił ogromnego pomarańczowego irokeza w stylu punk. Okropnie gryzł się kolorystycznie z tymi niebieskimi oczami. A jeszcze wcześniej miał tęczowe dredy do pasa.

Drukarka z szelestem wypluwała na dębowe biurko gęsto zapisane kartki.

– To twój główny dokument przyjęcia. Mamy twoje podstawowe dane, nazwisko, wiek, rysopis, brak znaków szczególnych, wszystkie kiedykolwiek używane adresy, PESEL, NIP, REGON o ile go miałaś, wszelkie numery nadane ci w innych krajach, niż ojczysty, pełny życiorys... – Zamaszyście stemplował kolejne strony.

– Jesteście lepsi, niż KGB – mruknęła, przerażona taką wizją.

– Nawet niż Mossad – roześmiał się.

– Ile masz lat Duszycko? Bo muszę wpisać w kwit do szatni, a już zamknąłem twój plik – odezwał się Zenobiusz.

– Dwadzieścia sześć.

– Pięknie, pięknie, i wystarczy.

Postanowiła w najbliższym sklepie zoologicznym kupić najwstrętniejszą z możliwych tarantulę i wypuścić mu za kołnierz. Staruszek nagle zamarł.

– Powiedziałaś, że ile?

– Dwadzieścia sześć.

– Ależ to się nie zgadza z naszymi danymi! – wykrzyknął. – Miałaś przyjść później!

Obaj z Zenobiuszem wymienili pełne zgrozy spojżenia.

– Wystawiłeś przepustkę?

– Tak – szepnął młodzieniec, tak zmartwiony, że aż pobladła mu pajęczyna. – Chyba mamy kłopot...

– Jaki kłopot? – wtrąciła się.

– Pojawiłaś się w niewłaściwym czasie. Powinniśmy cię teraz odesłać tam, skąd przyszłaś...

– Przez tę ścianę podobno się nie przejdzie – mruknęła z przekąsem. – Coś słyszałam o wąskich korytarzach i zombie na ulicy...

– Dla takich przypadków, jak twój mamy awaryjne kanały przerzutowe. Nie to jest problemem.

– A co w takim razie?

– Przepustka, którą Zenobiusz ci wystawił jest drukiem ścisłego zarachowania i nie można jej ot tak sobie wyrzucić do kosza. Nasza kopia idzie do archiwum, a ty swoją oddajesz przy bramie. Z kolei pobranie Głównego Dokumentu z komputera powoduje automatyczne nada-

nie sprawie numeru i odnotowanie tak zwanego przychodu w rejestrach księgowych. Gdybyś teraz po prostu sobie poszła, to po pierwsze nigdy nie będziesz mogła tu wrócić, bo będziesz skreślona z ewidencji...

– I zostanę tam na dole jako Biała Dama? – Taka perspektywa wydała się jej nawet dość kusząca.

– Coś w tym rodzaju. Te wszystkie nieszczęsne, błakające się damy w różnych kolorach czy Rycerze Bez Głowy to ofiary jakichś zawirowań czy błędów w ewidencji z okresu przed komputeryzacją. Prostujemy to z czasem, ale mamy za mało personelu.

Duszycka poczuła, że musi przewartościować poglądy na wiele spraw.

– A po drugie przy remanencie wyjdzie niezgodność dokumentacji ze stanem faktycznym. Dlatego musimy cię teraz odesłać do Poczekalni i napisać maila do Najwyższej Hierarchii z prośbą o anulowanie sprawy. Ja nie mogę sam tego rozplątać, bo nie mam uprawnień głównego admina.

– Jeżeli to taki admin jak większość z nich, to będzie długo trwało – mruknęła niezadowolona Duszycka. Odrobina nadziei na szybki powrót, jaka się w niej obudziła, zaczęła przygasać.

– Oj będzie, będzie, ale z innego powodu. Widzisz, każdy z nas ma tylko jedną skrzynkę mailową, na którą trafiają wszystkie wiadomości, prośby i spore ilości spamu.

– A jaki wy możecie dostawać spam? Bo chyba nie

proponują wam, przepraszam... Viagry?... Azjatyckich masażystek?... Prania pięciu milionów nigeryjskich dolarów?

– Nie o taki spam chodzi – roześmiał się staruszek.

– Dostajemy trzy rodzaje wiadomości. Po pierwsze oferty handlowe, na przykład „jak zdam maturę, to pójde do Częstochowy” czy „święty Antoni, pomóż mi znaleźć fakturę z firmy Piprzytyckiego, to dam ci dwa złote”. Nawet nie wiesz, o jakie bzdury ludzie czasem proszą – roześmiał się.

Czując nadciągającą dygresję Duszczycka spytała szybko:

– I co jeszcze?

– Drugie, to prośby o wsparcie, czyli „daj, żebym zdała do następnej klasy” albo „niech sąsiadowi krowa zdechnie”. Negatywne życzenia zawsze odrzucamy, ale często hakerzy z grupy Belzebuba włamują nam się do skrzyniek...

Westchnienie staruszka było tak silne, że zwiąło kilka kartek z biurka i Zenobiusz rzucił się je podnosić.

– A gdzie ten spam?

– No właśnie. Te wszystkie wasze okrzyki „O Boże!” czy „O Jezu!” trafiają do nas jako spam. Szef zatrudnia armię byłych benedyktynów do obsługi skrzynki mailowej, bo nikt inny nie ma cierpliwości. A najgorsze są kółka różańcowe, bo strzelają tym jak kałasznikow, seriami. I tak to idzie przez całą dobę. Twoja sprawa będzie musiała dodatkowo poczekać, aż trafi się kilka podobnych, bo musi

się zebrać komisja. Dla jednej osoby to się nie oplaca. No cóż... może trochę potrwać – dodał z troską.

– O Boże...

– No proszę, i ty też! – spojrzał z przyganą. – Wróćmy do spraw urzędowych.

– Chwileczkę! Jeżeli wrócę za miesiąc, to raczej nie będę się już mogła ludziom pokazać. Człowiek po kilku tygodniach chyba nie bardzo... – urwała, przerażona taką wizją.

– Spokojnie, nikt nawet nie zauważy, że cię nie było.

Zupełnie nieprzekonana Duszycka nie bardzo rozumiała jak chirurg może nie zauważyć, że pacjentka aktualnie leżąca na stole była na tamym świecie przez kilka tygodni, ale nie dane jej było zaprotestować. Staruszek zaklaskał w dłonie i spod muru w chmurze kurzu wytoczył się z wrzaskiem kłęb moczujących się ze sobą dzieciaków. Oderwał się od niego jasnowłosy chłopczyk krzyząc:

– Tylko poczekajcie na mnie chłopaki, zaraz wracam.

– Janie Mario Kanty! Jak ty wyglądasz?! Nie powinniście się bawić w taki sposób.

– Przepraszam... – Chłopczyk otrzepał się z piasku, trawy i resztek chwastów, wytarł ręce o nie pierwszej świeżości dzinsy i przecesał palcami włosy. Duszycka uznała, że nadal wyglądał, jak resztki z miski dla psa.

– Zaprowadź panią do najbliższej wolnej Poczkalni... zaraz, tak... do kolejowej, i wróć do mnie. Zaniesiesz

potem jej dokumenty do Sekretariatu Najwyższej Hierarchii. Prędziutko, prędziutko!

Chłopczyk wziął ją za rękę i szybko ruszyli w dół schodami, na które do tej pory nie zwróciła uwagi. A może wcześniej wcale ich nie było.

Szła mrocznym, krętym korytarzem, starając się nadążyć za prowadzącym ją malcem. Śmierdziało starym piwem, nieświeżą zapiekanką z pieczarkami, jaką można kupić o trzeciej rano w budce przy głównej ulicy, i jakby strachem. Zimna, betonowa podłoga była pełna plam i zacieków, po których bosonoga Duszydzka stąpała powoli i z obrzydzeniem.

W suficie zamontowano liczne świetlówki, ale jak to zwykle w takich miejscach, większość z nich nie działała albo była potłuczona, a wielu po prostu brakowało. Te nieliczne jeszcze świecące poprzez warstwę kurzu, dawały mdłe, sine światło, jednakowe we wszystkich przejściach podziemnych świata. Ściany tak gęsto pokrywało graffiti, że nie sposób było określić ich pierwotnego koloru.

Stanęła, próbując odczytać jakieś napisy, ale litery były splątane i całkowicie nieczytelne. Kolorowe gmatwaniny kresek, łuków, krzywizn zachodziły na siebie i tańczyły po ścianach, przypominając pierwotny chaos, z którego powstał świat. Chłopczyk zatrzymał się i obejrzał.

– Próbujesz przeczytać? Nie da rady. Żaden z nich nie jest skończony, a nawet gdyby był, to one są w tylu

językach i alfabetach, że nawet ja jeszcze tego nie umiem – westchnął.

– Czemu niedokończone?

– Zatrudniamy ich tu czasem w ramach prac interwencyjnych. Znaczą grafficiarzy i policjantów. Grafficiarz może sobie znaleźć kawałek czystej ściany na swój napis, a jak widzisz to nie jest łatwe, bo nie bardzo jest gdzie. Dlatego nie odnawiamy korytarza, żeby im nie ułatwiać.

Duszycka popatrzyła na niego pustym wzrokiem i w oczach chłopca błysnęło zniecierpliwienie, ale zaraz uderzył się w piersi:

– Wybacz, powinienem bardziej się przykładać do ćwiczeń w cierpliwości. Wyjaśnię ci. Otóż przy wejściu do korytarza grafficiarze co jakiś czas znajdują puszki farby. Biegają do środka w nadziei znalezienia kawałka wolnej ściany, co jak widzisz nie jest łatwe. Próbują narysować herb ulubionej drużyny, coś napisać, choćby własne imię albo przynajmniej jakiś wyraz na cztery litery. Niektórzy piszą „to” przez samo H żeby było szybciej, żeby zdążyć, ale i tak im się nie udaje.

– Zdążyć przed czym?

– Przed policjantem. Bo żeby nie wiem jak krótki był ich napis, zawsze w połowie nadbiega policjant i chce grafficiarza złapać.

W tym momencie usłyszała tupot i zza zakrętu wypadł wymazany farbą chłopak. Rzucił jej puszkę sprayu pod nogi i popędził, znikając za kolejnym załosem. Za

nim wybiegł starszy, zasapany policjant, a właściwie milicjant, taki sam, jakiego pamiętała z zamierchłego dzieciństwa. Jedną ręką przytrzymał na zmianę raportówkę i spadającą czapkę, a w drugiej trzymał gumowa pałę, którą wygrażał wszystkim przestępcom świata. Zatrzymał się na moment, żeby podnieść puszkę i pobiegł dalej, wykrzykując coś o podrzucaniu dowodów rzeczowych postronnym obywatelom.

– Chyba go nie złapie – mruknęła, obserwując nierówne zmagania.

– Pewnie, że nie – roześmiał się chłopiec. – Graffitiarze nigdy nie kończą swoich dzieł, a policjanci nigdy ich nie łapią. Na tym polega ich czyściec.

– Mój też, kiedy na to patrzę – niezycliwie rozejrzała się po pstrokatych i brudnych ścianach i zaśmieconej podłodze.

– Już niedaleko – uśmiechnął się, schodząc po kilku stopniach i otwierając przed nią obdrapane blaszane drzwi. – Ale nie wiem, czy tam bardziej ci się spodoba.

Z wahaniem przekroczyła próg, a drzwi zatrzęsły się za nią z metalicznym łoskotem. Przez głowę przemknęła jej myśl, że oto klamka zapadła, ale kiedy się obejrzała, przekonała się o bezsensie takiego powiedzenia – od tej strony żadnej klamki nie było. Niemile skojarzenie ze szpitalem wariatów pogłębiło jej irytację. Z korytarza dobiegał cichnący tupot stóp oddalającego się chłopca zwa-

nego Janem Marią Kantym. Duszczyka, której nigdzie się już nie spieszyło, rozejrzała się dookoła z niechęcią.

Pomieszczenie było długie i wąskie, z klaustrofobicznie niskim sufitem. Z lewej strony przez szpary w zamkniętych na głucho okiennicach sączyło się skąpe, brudne światło, przefiltrowane przez wieloletnie pokłady kurzu. Duszczyka podejrzewała, że szyby w oknach nigdy nie były myte, a cywilizacje rozwijające się w tym brudzie musiały już chyba wynaleźć koło. Gdzieś obok, z nieszczelnego sufitu miarowo kapłała woda. Zimne lastrico podłogi, popękane i w nieokreślonym kolorze, było pokryte archeologiczną warstwą brudu. Przeszepowała z jednej zziębniętej nogi na drugą, czując, jak klei się do posadzki i wkurzała się coraz bardziej.

Po prawej stronie ciągnął się szereg nieczynnych okienek kasowych i w nagłym błysku Duszczyka zrozumiała, gdzie jest. Toż to poczekalnia kolejowa z jej miasta, nie remontowana od lat, bo dworzec miał być wyburzany, żeby zrobić miejsce na nowy, ale z braku funduszy ciągle spadał z planu. Nienawidziła tego miejsca nawet bardziej, niż poczekalni w innych miastach i miała nadzieję, że pobyt tutaj zostanie jej policzony na poczet ewentualnej przyszłej odsiadki. Po sali snuło się bez celu kilkanaście osób o poszarzałych twarzach, inni siedzieli na ławkach pod ścianami, albo wpatrywali się tępo w tablicę z rozkładem jazdy, mamrocząc coś do siebie.

– Duszczyka? Czy tak? – usłyszała basowy głos

i obejrzała się.

Pytająca była tęgą istotą płci najprawdopodobniej żeńskiej, z krzywo założoną, wytartą aureolą. Włosy w bijącym po oczach różowym kolorze miała spięte w niechlujny kucyk, nie pierwszej świeżości powłóczysta szata lekko strzępiła się przy koronkowym kołnierzyku, a na szyi na różowej smyczy dyndał identyfikator. Bezlik kolczyków w uszach i twarzy uniemożliwiałby jej przechodzenie w pobliżu elektromagnesów. W rękach trzymała stertę ubrań i plik dokumentów. Brak skrzydeł nieco zmącił Duszczykę.

– Anieliczka? – spytała niepewnie.

– A gdzie tam! Anieliczki to są te lale, co to tylko do śpiewania w chórach się nadają, a do roboty ich nie ma. Ja jestem anielica i pracuję w szatni.

– Myślałam, że anioły to wyłącznie faceci.

– Czy wy tam na ziemi słyszeliście o równouprawnieniu? – oburzyła się istota. – Już dwadzieścia siedem procent pracujących aniołów to kobiety. Jak widać mamy jeszcze wiele do zrobienia. Walczymy o wprowadzenie parytetu.

– Czemu nie masz skrzydeł?

– Spróbowałaś ty kiedyś chodzić w czymś takim? – warknęła z niecierpliwością. – To ja bym już wolała w pracy na szpilkach zasuwać, niż taszczyć te kilogramy na plecach.

Duszczyka wyobraziła sobie anielicę w różowych

szpilkach od Gucciego i poczuła się nieco lepiej.

– Poza tym o wszystko się nimi zahacza i mogą się podrzeć. Skrzydła to strój paradny i przysługują tylko raz na dwadzieścia pięć lat. Jeżeli zniszczysz swoje wcześniej, to nowych nie dostaniesz. I jak wtedy weźmiesz udział w uroczystościach?! – Z niecierpliwością poprawiła ob-suwającą się aureolę. – Mam dla ciebie ubrania. Proszę, najpierw bielizna – wyciągnęła maleńki strzępek czerwono-czarnej koronki.

– Nie chcę stringów! – zaprotestowała Duszczyka – Czuję się w tym, jakbym sobie czyściła tyłek nicią denty-styczną.

– Żadnych grymasów! Bierzesz to, co wydali w ma-gazynie. Nie mam nic lepszego. U nas też jest kryzys i się nie przelewa. No prędziutko, zakładaj. Nie wiem, jakie miałaś obyczaje tam, na ziemi, ale tu nie możesz chodzić bez... no wiesz czego.

Następnie Duszczyka dostała do ręki grubą spód-nicę w stylu „pisanka łowicka” i już otwierała usta żeby się sprzeciwić, ale rzut oka na minę anielicy sprawił, że grzecznie się ubrała. Stroju dopełniały oryginalne holen-derskie saboty, może i niewygodne, ale doskonale izolują-ce od zimnej podłogi. Miała wprawdzie świadomość dzi-wacznego wyglądu, ale i tak poczuła się pewniej.

– Pokwituj mi odbiór, o tu gdzie ptaszek. I jeszcze tu... świetnie. Proszę, ta kopia jest dla ciebie, tylko nie zgub, bo przy wyjściu jest potrzebna. Mam dość ciąglego

wystawiania wszystkim gapom duplikatów.

Bez dalszych ceregieli anielica odeszła żwawym krokiem, roztrącając ludzi w poczekalni i pozostawiając Duszyckę własnemu losowi. Z głośnika przy rozkładzie jazdy rozległo się donośne ‘bom bom’ i metaliczna zapowiedź:

– Pociąg... yyyy.

I cisza. Duszycka pomyślała, że czego, jak czego, ale pociągu można by się spodziewać na dworcu, więc po co o tym informować. Niezbadane są jednak ścieżki kolei, także i w zaświatach.

– Niech się przesunie! No do niej mówię! Ja tu pracuję.

Obok stała wysoka, chuda kobieta w czarnym fartuchu w białe groszki, a przy jej nogach wiaderko z brudną wodą. Jak żołnierz prezentujący broń trzymała oburącz mopa na czerwonym kiju, a z frędzli kapłała woda. Mop drgał i wyglądał, jakby chciał się wyrwać, a kobieta zaciskała palce, aż zbieleły jej kostki. Krople wody bryznęły na saboty i Duszycka skrzywiła się z niesmakiem.

– No! Niech się przesunie! Muszę zetrzeć całą podłogę, każdy centymetr.

– Przyda się. Kiedy ostatni raz ktoś tu sprzątał, na ziemi biegały dinozaury.

– Jeżeli zetrę wszystko, ale tak zupełnie wszystko, to mnie stąd wypuszczą. A jak ona będzie tak stała, to mi zostanie kawałek pod tymi buciarami i jutro będę znów musiała zacząć od początku.